W którym poznajemy domowników pewnego mieszkania przy ulicy Świętego Jana, dowiadujemy się, jak Wiedeń mści się na Krakowie, do czego może się przydać siedem ogierów, co takiego zmoże niejedną cholerę, a także o wielkiej przydatności niektórych książek, równie wielkiej pazerności dam z towarzystwa i tragicznym wypadku posła węgierskiego  
za przyczyną butelki śliwowicy.

W sobotę, 14 października roku 1893, nad kamienicą Sub Pavone przy ulicy Świętego Jana w Krakowie już od rana straszył deszczem nawis ciemnoszarego, miejscami szafirowego chmurzyska.

 – Franciszko – westchnęła profesorowa Szczupaczyńska ponuro, obawiając się najgorszego, czyli wydatku dwudziestu centów na powrót fiakrem – sprawunki same się nie zrobią.

Po czym, puszczając mimo uszu sentencjonalną odpowiedź kucharki („Na świętego Hieronima jest dysc albo go ni ma” – choć przecież wspomnienie ojca i doktora Kościoła obchodzono tydzień wcześniej), przeszła do przedpokoju, zapięła kruczkiem dwa rzędy czarnych guzików przy bucikach, naciągnęła rękawiczki z wiśniowej skórki glacée, założyła nowy kapelusz, kupiony w magazynie mód Maryi Prauss i przejrzała się w lustrze. Dobiegała czterdziestej wiosny, ale z aprobatą skonstatowała, że wygląda wcale urodziwie. Być może przez ostatni rok przybrała minimalnie na wadze, ale nosiła się prosto, a figurę wciąż miała powabną. Cera zdrowa, bez żadnych wyprysków, zmarszczek niewiele – tylko jedna wyraźniejsza, na czole, między brwiami, zbyt często może ściąganymi. Twarz pociągła, o dość surowych rysach, ale złagodzonych ładnie zarysowanymi brwiami, oczy bystre, w ciemnej oprawie… nos z lekkim garbkiem… usta, cóż, usta mogłyby być pełniejsze, ale pocieszała się, że wąskie wargi nadawały jej wygląd wykwintnej Angielki.

Sięgnęła po parasolkę do stojącego przy drzwiach fajansowego wazonu, najeżonego spacerowymi laskami męża. Palce przez moment zatrzepotały nad uchwytami: srebrną głową papugi z topazowym oczkiem, zawiniętą trąbą słonia, gałką z kości słoniowej (ofiarowaną parę lat temu przez wdzięcznych studentów), małą, połyskliwą czaszeczką (pamiątką z czasów, kiedy Ignacy Szczupaczyński kończył studia medyczne) i wreszcie wyjęły chińskiego smoka, goniącego za perłą: prezent, jak lubiła przypominać Zofia, od mieszkającej w Wiedniu siostry. Jeszcze tylko jedno rzucone przez ramię spojrzenie w lustro – na tyle zalotne, żeby spodobała się samej sobie, na tyle surowe, żeby Franciszka nie ośmieliła się skwitować go uśmieszkiem – i już były gotowe do wymarszu na plac Szczepański.

Szły jak zawsze: Świętego Jana, potem Tomasza, co jakiś czas popatrując z niechęcią na tę samą chmurę, wzbierającą, puchnącą, kotłującą się ponad Piaskiem.

 – W Krowodrzy już pewnikiem leje – powiedziała Franciszka w przestrzeń, acz z wyraźną przyganą. Ale wiedziała, że w życiu Zofii Szczupaczyńskiej istniały świętości większe niż hostia w podniesieniu i należał do nich porządny niedzielny obiad, a zatem i równie porządne sobotnie sprawunki.

Dochodziły już do wylotu Świętego Tomasza, więc Franciszka, która szła nieco z tyłu, z koszem przewieszonym przez ramię, wiedziała, co zaraz nastąpi: na wysokości kamienicy Sędziwoja kokarda na kapeluszu nagle drgnęła i skręciła w prawo, a za nią reszta kapelusza i głowa profesorowej. Przyszedł czas na jęknięcie, bo stąd było już widać „tę zbrodnię”, „tę ohydną szopę, godną stacyjki w mieście garnizonowym”, czyli ogromną konstrukcję krytych schodów ewakuacyjnych, dobudowaną parę lat temu do gmachu miejskiej sceny po pożarze stołecznego Ringtheatru.

 – Rozumiem, że tam spłonęło blisko czterysta osób – mawiała profesorowa Szczupaczyńska – ale czy to powód, żeby Wiedeń mścił się na Krakowie tym szkaradzieństwem? Na szczęście nowy teatr już lada moment!

Było więc i rytualne jęknięcie, i powrotny ruch kokardy. Teraz trzeba było przejść do spraw zasadniczych.

Plac Szczepański otwierał się szeroko, otoczony przysadzistymi kamieniczkami; tu i tam z brudnego bruku wyrastały kryte gontem krzywe budy, oblepione stołami, stolikami, beczkami z kiszoną kapustą i ogórkami, stertami drewna, pękami mioteł, wiklinowymi koszami trzeszczącymi od nadmiaru gruszek, jabłek, ziemniaków, kalafiorów, zwożonych tu przez chłopów z podkrakowskich wsi – i tak aż do przeciwległego końca placu, zamkniętego budą najdłuższą, podzieloną na kolejne stragany, przed którymi uwijały się przekupki, klientki i garstka przeganianych co rusz umorusanych andrusów, wietrzących okazję do podprowadzenia jabłka albo porwania z ziemi upuszczonej monety. Najwięcej było jednak służących i kucharek – profesorowa miała swoje zdanie na temat pań domu, których służba chodzi po zakupy samopas: „pójdą z domu z garścią złotych reńskich, a wrócą z jedną pietruszką, w dodatku nadgniłą”; owszem, zdarzało się jej posłać dziewczynę po parę drobiazgów na targ, do apteki czy do pasmanterii, ale sobotnimi zakupami musiała dowodzić osobiście.

Kiedy przechodziła pomiędzy budami, jej mózg pracował jak arytmometr czy inna maszyna licząca: w głowie układały się całe dni i tygodnie, ze śniadaniami, obiadami, podwieczorkami i kolacjami, z konieczną ilością mąki, masła, mleka, śmietany, smalcu, cukru i miodu, funtami owoców, miarami wina, z kapłonami, półgęskami, sznyclami i auszpikami. Między koszem jabłek a stołem założonym owiniętymi w liście chrzanu serami potrafiła w pamięci przeliczyć zajdle i wiadra wiedeńskie, łuty i kamienie, garnce i achtele pożywienia, którym będzie gospodarować przez najbliższe dni, tygodnie i miesiące. Gubiła się jedynie w nowych monetach – w minionym roku Wiedeń zastąpił srebrne guldeny złotymi koronami. A że w obiegu kursowały obie waluty, centami zaś nazywano i stare dobre krajcary, i nowe halerze, warte połowę swoich poprzedników, to na targu wciąż dochodziło do nieporozumień, kiedy jakaś gospodyni narzekała na drożyznę: „Dwadzieścia centów za kilogram kalarepy?! To jest rozbój!”, na co przekupka mitygowała ją: „Się pani radczyni tak nie gorączkuje, przecie centów nowych, nie starych!”.

Tak czy owak, profesorowa, dotarłszy właśnie w obliczeniach i planach do mięs, z którymi poradziła sobie zawczasu – sznycle na dzisiejszy obiad już przygotowane, a pulardę na jutrzejszy miał przed czwartą dostarczyć chłopak z jatek na Małym Rynku – przeszła do obmyślania ciast na wszystkie dni nadchodzącego tygodnia, kiedy z obliczeń wyrwało ją śpiewne:

 – Kuzynko! Ku-zyn-ko!

Ponad sylwetkami dwóch zawiniętych w chusty bab z Bronowic, które sprzedawały zebrane o świcie grzyby, wyłowiła wzrokiem wysoką, surową postać, sunącą drobnymi krokami od strony teatru: Józefę Dutkiewiczową. Wprawdzie łączyło je faktycznie dalekie powinowactwo przez ciotkę, którą ostatni raz widziały pewnie ze trzydzieści lat temu – a która od dawna rezydowała na cmentarzu w Brzesku – ale bardziej jeszcze łączyła je długoletnia, gorąca wzajemna niechęć, a właściwie: rozciągnięty na lata pojedynek na wbijanie szpil, w którym każdy cios maskowała przesadna uprzejmość. A ostateczny wynik wciąż jeszcze nie był wiadomy.

Dutkiewiczowa, z Korwin-Kunachowiczów, po mężu, jak często podkreślała, Trzaska-Dutkiewiczowa, pochodziła bez wątpienia z lepszej rodziny niż Szczupaczyńska (z zupełnie zwykłych przemyskich Glodtów), a jeden z jej kuzynów był nawet Radcą Namiestnictwa. Szczupaczyńska wygrywała jednak pozycją męża – żona profesora Uniwersytetu biła o kilka długości wdowę po urzędniku Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych. Co więcej, stary Dutkiewicz odumarł ją niecały rok temu, zaś skromna urzędnicza emerytura nie pozwalała na utrzymywanie kucharki i pokojówki równocześnie, toteż z ciężkim sercem zmuszona była odprawić Franciszkę. „Łatwiej przyuczyć pokojówkę do gotowania aniżeli odwrotnie – tłumaczyła swoim śpiewnym głosem – a po śmierci Jana męczyła mnie już taka liczba dusz kręcących się po domu”.

Doktorowa Szczupaczyńska nie byłaby sobą, gdyby nie wykorzystała wówczas sytuacji, zwłaszcza że ze służbą miała ciągłe kłopoty i właściwie zawsze szukała kogoś nowego, bo albo dopiero co wyrzuciła pokojówkę czy kucharkę, albo właśnie się do tego zabierała. W mig zbadała sprawę – jako niezmordowana wywiadowczyni miała wszak stały wgląd w większość tego, co wydarzało się w obrębie Plantacji – omotała skutecznie i kuzynkę, i jej pracownicę, która po tygodniu od pierwszej rozmowy przeprowadziła się z Floriańskiej na Świętego Jana, zabrawszy z domu Dutkiewiczowej swój drewniany kuferek. I był to jeden z lepszych interesów, jakie Szczupaczyńska zrobiła w całym swoim dotychczasowym życiu: Franciszka Gawęda, która dekadę temu trafiła do Józefy prosto z rodzinnych Kęt jako czternastoletnia ledwie Frania, była zręczna, uczciwa i bystra, została przyuczona do wszystkich robót i w dodatku tak dobrze opanowała tradycyjną galicyjską kuchnię, ze szczególnym uwzględnieniem deserów, że przy jej zaletach przybladło to, co było pierwotnym motorem intrygi: radość ze zubożenia rywalki i wyrwania jej wieloletniej służącej.

Być może zresztą gdyby Franciszka zjawiła się w kamienicy Pod Pawiem prosto z jakiegoś biura stręczenia sług, Zofia zwolniłaby ją po miesiącu pod byle pretekstem, jak to miała w zwyczaju; ale że chodziło tu o tryumf w walce z Dutkiewiczową, parę razy zacisnęła zęby – i po pół roku nie wyobrażała sobie życia bez tej milkliwej, szczupłej dziewczyny o wielkich oczach i dużych, czerwonych dłoniach.

 – Zofio, cóż za miłe spotkanie! – zakrzyknęła nieszczerze Dutkiewiczowa, która, wymijając dwóch tragarzy z jutowymi workami, dobrnęła na środek placu, ciągnąc za sobą zaaferowaną służącą.

 – Józefo, tak się cieszę – odparła równie nieszczerze Szczupaczyńska.

Franciszka, niewprawna w walkach pań z towarzystwa, przy każdym takim spotkaniu czuła się niezręcznie, więc widząc swoją dawną chlebodawczynię, skuliła się w sobie. Dutkiewiczowa wprawdzie głośno wyrażała zadowolenie z tego, że „wierna Frania” znalazła „tak godną zatrudnicielkę”, ale surowe spojrzenie, jakim zmierzyła swoją byłą kucharkę, nie pozostawiało żadnych złudzeń. W Krakowie „przebaczenie” było wyłącznie terminem teologicznym, bez praktycznego zastosowania w życiu codziennym.

Franciszka, ukłoniwszy się grzecznie i bąknąwszy pod nosem uprzejme pytanie o zdrowie, usunęła się na bok, oddając pola potężnym szermierkom. Stanąwszy skromnie w pewnym oddaleniu, wpatrywała się w stare afisze, obłażące z boku budy, która zamykała plac Szczepański od strony Plantacji, i mrużąc nieco oczy, odczytywała po cichu: WIELKI CYRK SIDOLEGO Dziś w sobotę 16 września! Wielkie wspaniałe wyborowe przedstawienie… tu przez plakat szło poziome rozdarcie, a niżej drobniejszym drukiem, przez co dziewczyna musiała zmrużyć oczy bardziej jeszcze, spis atrakcji: występ Cezara Sidolego jako znakomitego angielskiego jeźdźca dżokejowego, następnie Miss Mary Annie Gordon, przedstawiająca Attilę, rosyjskiego karego ogiera na wolności, obraz hipologiczny z siedmioma ogierami, aż po „Skaczącego zalotnika”, wielką pantomimę uscenizowaną przez dyrektora. Serce tylko mocniej zabiło jej pod bluzką. Te szamerowania! Te werble!

Tymczasem prawdziwe widowisko odbywało się raptem sążeń dalej, gdzie, świadome nadchodzącej burzy, starły się te dwie wspaniałe krakowskie kokosze, którym towarzyszyły służące jak średniowieczni giermkowie z jakiejś płyty nagrobnej w krużgankach Dominikanów, niosące zamiast hełmów – kosze pełne warzyw.

Dutkiewiczowa, wciąż w żałobie, którą miała już nosić do końca życia, z wysoko upiętymi siwymi włosami, wbita w niewyszukaną, acz elegancką suknię sprzed dwóch sezonów, trzymała się prosto i z dużą klasą; Szczupaczyńska, młodsza o ponad dekadę, była ubrana znacznie barwniej – ktoś pewnie powiedziałby „krzykliwie” – ale w niczym tej pierwszej nie ustępowała; nigdy nie była piękna, ale w trzydziestym ósmym roku życia wciąż przecież uchodziła za „przystojną kobietę”. A rzadkie pasemka siwizny w kasztanowych włosach tylko ją – w tej kwestii ufała komplementującym ją panom – zdobiły.

Stały niemalże nieruchomo; padały słowa, frazy, zdania, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Ot, krakowskie plotki i uprzejmości. Liczyło się to, co pomiędzy słowami: gesty, uśmieszki, uniki. Ale widać było, która przegrywa starcie: Szczupaczyńska była rozproszona, co jakiś czas popatrywała niechętnie to na chmurę, to na rząd fiakrów stojących pod teatrem; jeśli lunie, zanim zdążą wrócić do domu, trzeba będzie zapłacić za krótki kurs tyle, co za kwadrans rozbijania się po mieście, czyli dwadzieścia centów. Rabunek w biały dzień. Na szczęście chmura, wciąż kłębiąc się i pusząc, granatowiejąc coraz bardziej, zajmując już większą część nieba, na razie wstrzymywała się z deszczem.

Wreszcie jednak udało się doprowadzić rozmowę do takiego końca, że żadna z pań nie miała poczuć się urażona i obie rozeszły się w przeciwnych kierunkach, ciągnąc za sobą ogony: dwie obładowane służące.

Pożegnawszy się z panią Dutkiewiczową, Zofia przebiegła jeszcze chyżo przez kilka straganów, pokazując palcem w wiśniowej skórce glacée szczególnie ładnego kalafiora albo, przeciwnie, obitą gruszkę, a Franciszka uwijała się, ładując do coraz cięższego kosza kolejne tutki; tak doszły aż do skraju placu, gdzie pani rzuciła za siebie: „Nadłożymy nieco drogi, przejdziemy jeszcze przez aptekę”, i weszły w Szczepańską.

 – Proszę pani, a czy pojutrze mogłabym dostać przed południem wychodne?

W innych okolicznościach Szczupaczyńska przystanęłaby może i załamała ręce, ale teraz nie było na to czasu; popatrzyła tylko na kucharkę z politowaniem i, nie zwalniając kroku, zaczęła tyradę:

 – Franciszko, Franciszko, znów cyrk Sidolego? Ile ty masz lat? Piętnaście czy prawie dwa razy tyle? Znów będziesz marnowała pieniądze, żeby oglądać te hece na koniach? Albo tego łapserdaka, który zabawia gawiedź, skacząc z balonu na spadochronie? W dodatku usadzony na rowerze?

Franciszka przez moment milczała, wracając w myślach do owego niesłychanego wieczoru, kiedy to, siedząc na najtańszych miejscach, nie odrywała oczu od kapiących złotem uniformów i wspaniałych rzędów końskich. Te błyski, kiedy woltyżerka unosiła się w strzemionach, te okrzyki grozy i zachwytu! Gdyby mogła, chodziłaby na występy cyrku i dwa razy dziennie, zwłaszcza że program – jak głosiły rozlepione na mieście plakaty – był zmieniający się i obfity. Ale nie o to tym razem chodziło.

 – Nie, proszę pani, chciałabym odwiedzić babunię w Domu Helclów.

Zofia Szczupaczyńska, jak na krakowską mieszczkę przystało, nie była entuzjastką wychodnego; ten zmarnowany czas można by poświęcić na coś pożytecznego, na przykład wyczyścić srebra albo umyć parę okien; ale cóż, pół dnia na tydzień trzeba było odżałować; gwarantowała to nie tylko umowa, ale i obyczaj, czyli zasady domu Dutkiewiczów, które Franciszka przeniosła z Floriańskiej na ulicę Świętego Jana. A z dwojga złego lepiej, jeśli odwiedzi wiekową Gawędzinę, niż miałaby się szlajać po cyrkach albo jarmarkach. Wprawdzie Zofia od dawna już była sierotą i nie miała w rodzinie żadnych staruszków ani staruszek, którymi mogłaby się opiekować lub odwiedzać ich u Helclów, a i sama nie mogła liczyć na to, że za lat czterdzieści ktoś ją będzie w takim przybytku odwiedzał, ale co do zasady, pochwalała udział w życiu rodzinnym.

 – Oczywiście, Franciszko – kiwnęła głową, kapeluszem i kokardą, po czym, wciąż nie zwalniając, powzięła decyzję, że i ona wybierze się na wycieczkę.

W jej codziennej walce o przemianę w idealną krakowiankę, której nikt nie ośmieli się wypomnieć prowincjonalnego pochodzenia, Zofia Szczupaczyńska prowadziła najróżniejsze kampanie, w tym i kampanię społeczną. Do niedawna marzyło się jej, że zostanie przewodniczącą sekcji kobiet na XIX Wystawę Krajową we Lwowie, ale, niestety, na zebraniu w Kasie Oszczędności żadnych głosowań nie było; na mównicę wszedł dyrektor wystawy, wiceprezydent Lwowa Marchwicki, i słodkim głosem obwieścił, że na przewodniczącą wybrano żonę Polanowskiego, pomysłodawcy wystawy, a na podkomendne dobrano jej wianuszek wielkich pań: księżnę Sapieżynę, hrabinę Badeniową i Laskowską, żonę delegata Namiestnictwa w Krakowie. Do tego dołożył jeszcze własną żonę. Rozdrapały wszystko te pazerne baby, rozdrapały do szczętu: Badeniowa ochronki, szpitaliki i dzieła charytatywne, Polanowska oświatę ludową, naukę gospodarstwa domowego, wychowanie dzieci i szkoły sług, a Marchwicka roboty ręczne, kursa pracy kobiet i bazary, a do tego jeszcze całą komisję stowarzyszeń kobiecych. Nienasycona! Messalina dobroczynności, Jezabel ruchu spółdzielczego!

Dlatego też profesorowa postanowiła pójść inną ścieżką, bardziej lokalną, i zasłużyć się w opiece nad krakowskimi chorymi i ubogimi. Nie dysponowała może wielkimi kapitałami – a nawet gdyby dysponowała, nie wydawałaby ich przesadnie – ale była obrotna, ambitna i umiała tak pokierować ludźmi, by sami z siebie to i owo jej ułatwiali. Za pole działania obrała Towarzystwo Dobroczynności, a za cel – zostanie damą komitetową w zarządzie oddziału dam. Wiadomo, fotel prezesowej i wiceprezesowej zajmowały hrabiny Potockie, drugiej wiceprezesowej – Gwiazdomorska, żona wiceprezesa rady ogólnej, a dalej jak nie Zamoyska, to Lubomirska, a Tarnowska Branicką pogania. Ale zdarzały się wśród dam komitetowych i panie bez herbów z mitrami – i tego celu Zofia się trzymała. Choć wiedziała dobrze, że nie ona jedna utkwiła w nim wzrok; takie choćby Ponikłowa i Geislerowa, taka Zembaczyńska, wyjątkowo zajadła w swojej opiece nad starcami, ostatnimi czasy latały do Domu Helclów na wyprzódki. Trzeba było pójść, pokazać się, zadzierzgnąć kontakty z zakonnicami.

 – Pójdziemy razem, Franciszko – powiedziała, przechodząc przez drzwi Apteki pod Złotym Tygrysem.

Były jedynymi klientkami, kto żyw uciekł już do domu przed nieuchronnym deszczem. Zofia machinalnie podniosła wzrok: na ścianie, ponad ciemnymi szafami, nadal wisiał portret niedawno zmarłego właściciela, Fortunata Gralewskiego, przewiązany wstążką z krepy; jego imię i nazwisko wciąż jeszcze widniało na wszystkich etykietach i, zapewne, pozostanie tam przez czas jakiś, dopóki nie wyczerpią się zapasy. Wtedy wydrukuje się nowe, gdzie to samo lecznicze wino Condurango czy Sagrada będzie sprzedawane pod nazwiskiem córki, co poszła za tego ladaco, pacykarza Malczewskiego. „Tak przemija chwała świata – powiedziała sobie w duchu profesorowa – i krakowskiego aptekarstwa”.

 – Dwie flaszeczki wina na cholerę – powiedziała już na głos.

Gazety codziennie donosiły o kolejnych przypadkach, „Czas” miał nawet specjalną rubrykę CHOLERA. Na razie przewijały się nazwy odległych miast i miasteczek: Stanisławowa, Worochty, Mikuliczyna, ale odkąd padło złowróżbne „Rymanów”, Zofia poczuła, że cholera stoi ante portas i należy się przed nią stosownie zabezpieczyć. Niestety, profesor Szczupaczyński w kwestii leczenia tej choroby miał swoją, boleśnie nudną medyczną opinię, taką mianowicie, że wino, i owszem, może być smaczne, może wzmacniać cały organizm, ale z cholerą sobie nie poradzi; powtarzał do znudzenia coś o przecinkowcach i higienie oraz że lekiem będzie dopiero budowa porządnych wodociągów. Ale ona wiedziała swoje: mycie rąk nie jest nawet w połowie tak skutecznym środkiem jak wino polecane przez lekarskie powagi.

 – Borówkowego od Schwarza z Wiednia czy od Gutunicia?

 – A to Gutunicia to skąd?

 – Też z Wiednia. Dalmatyńskie – krótkowzroczny subiekt podniósł flaszkę do oczu i powoli odczytywał druk na etykiecie – zawierające garbnik. Przeciwko chorobom żołądka i kiszek.

– Może jednak to borówkowe od Schwarza – odparła z godnością. „Gutunić – pomyślała sobie – co to w ogóle za nazwisko? Zdecydowanie niewiedeńskie”.

Franciszka stała bez słowa, ale i ona w kwestii cholery miała swoją opinię, którą wszakże wstydziła się ujawniać, wiele już razy skarcona za opowiadanie o gusłach i przez Dutkiewiczów, i przez nowych państwa. Miała ona medyczną wyrocznię, której słuchała się w każdym przypadku: Anielską pomoc na obronę i ochronę w wielkiej biedzie. Zapytana, jaka jest najważniejsza książka na świecie, z pewnością, jako dobra chrześcijanka, bez zastanowienia odpowiedziałaby, że Biblia. Ale gdyby dotrzeć do najgłębszej głębi jej serca, okazałoby się, że jest nią raczej Anielska pomoc. W Biblii wiele jest bowiem pouczających historii i mądrych opowieści, ale sposoby rozwiązywania problemów stosowane przez Judytę czy też metody medyczne Tobiasza były właściwie nie do zastosowania w życiu codziennym, w którym człowiek spotykał się z najróżniejszymi kłopotami.

Tu przydawała się właśnie Anielska pomoc, z której kart dowiedzieć się można, jakimi sztukami przyswoić sobie zwierzęta domowe, jakie są niezawodne środki przeciwko piegom, womitom, muchom, kurczom, obawie przed wodą, jaka esencja sprawi, że człowiek wszystko, co czyta i słyszy, spamięta, jak zagubić brodawki, niepłodne małżeństwo uczynić płodnym i zaradzić długotrwałym grzmotom i deszczom.

W kwestii cholery księga nie wypowiadała się może szczególnie precyzyjnie – ale Franciszka nie ustawała w poszukiwaniach i czasami zasypiała, wertując zatłuszczone stroniczki. Na razie, dowiedziawszy się, że cholerze towarzyszy biegunka, skupiła się na sposobach leczenia biegunki białej i biegunki krwawej. Z pierwszą poradzi sobie kawałek czerwonej gliny wielkości kurzego jaja, ususzony w piecu, utłuczony w moździerzu i rozpuszczony, a potem ugotowany w kwarcie rzecznej wody, ale nabranej w stronę płynącą. Z drugą – dwie łyżki sproszkowanych czarnych jagód rozpuszczonych w ciepłym winie, do czego później trzeba zjeść tłustą zupę z wołowiny, trzymać się ciepło i nacierać pępek co godzinę muszkatowym olejkiem. Muszkatowy olejek już miała, jagody takoż, wołowinę zawsze da się kupić. Była przygotowana. I czasem, zasypiając, wyobrażała sobie tę wspaniałą scenę, kiedy to profesor dogorywa, profesorowa dogorywa, on majaczy o wodociągach, jej wypada z dłoni kielich wina borówkowego, a tymczasem Franciszka, stosując przepisy z wykpiwanej i wzgardzonej Anielskiej pomocy, ratuje życie obojga chlebodawców, pojąc ich czarnymi jagodami rozpuszczonymi w ciepłym winie i nacierając im co godzinę pępki olejkiem muszkatowym. I tym samym zaskarbia sobie nie tylko ich dozgonną wdzięczność, ale i szacunek dla swojej książeczki.

 – …i jeszcze coś na globus. A, tak, i pastę Pompadour.

 – Pastę Pompadour Rixa? Niestety, pani doktorowo, to tylko na Floriańskiej, u Wiszniewskiego…

 – …profesorowo. Mąż został – tu wszystkie sylaby wymówiła jeszcze wolniej i dokładniej niż zazwyczaj – profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Już parę miesięcy temu.

 – Najmocniej przepraszam, pani profesorowo.

 – Och, drobiazg – zaśmiała się nieszczerze – doprawdy, drobiazg. Ile się należy?

W rzeczywistości jednak profesura Ignacego nie była drobiazgiem, ale przez wiele lat wymarzonym ukoronowaniem konsekwentnej wspinaczki po stopniach krakowskiej socjety. Zofia z Glodtów Szczupaczyńska nie była bowiem rodowitą krakowianką. Urodziła się i wychowała w Przemyślu, nie licząc rocznego i źle wspominanego pobytu na pensji Sakramentek we Lwowie; odebrawszy staranne wykształcenie domowe dzięki nieocenionej pannie Buchbinderównie, poślubiła Ignacego Szczupaczyńskiego herbu Wadwicz z osiadłej w Krakowie od pokoleń niezamożnej, acz szanowanej rodziny spod Tyńca – i odtąd robiła wszystko, co w jej mocy, by nikt nie pamiętał o jej przemyskim pochodzeniu. Prawdę mówiąc, z czasem sama niemal o nim zapomniała. Przejęła wszystkie zwyczaje tutejszego mieszczaństwa i trzymała się ich tak ortodoksyjnie, że budziło to niekiedy uśmiech politowania jej męża: zakupy robiła w Sukiennicach, w towary kolonialne zaopatrywała się jedynie w sklepie Antoniego Hawełki, na sumę chodziła do kościoła Mariackiego, a z gazet czytała wyłącznie „Czas”. Można było ją odpytywać z paranteli wszystkich większych domów do kilku pokoleń wstecz, a jeśli chodzi o plotki, to w obrębie całych Plantacji nie miała sobie równych.

Pierwsza kropla spadła na wieńczącą kapelusz kokardę przed samą bramą; były uratowane. I one, i dwadzieścia niewydanych na dorożkę centów.

 – Dzień dobry, Ignacy – powiedziała Zofia sprzed lustra, zdejmując rękawiczki i układając je w japońskiej szkatułce z czarnej laki.

Nastąpił moment ciszy; w prześwicie drzwi widziała męża, a raczej jego kawałeczek: jasny punkt łysiny na czubku głowy, wystający sponad szerokiej płachty „Czasu”. I palce przytrzymujące brzegi gazety. Na stole leżały nożyczki i ze dwa wycinki.

 – Król Humbert spadł z konia – odezwał się wreszcie profesor Szczupaczyński – ale na szczęście nic mu się nie stało.

 – To znakomicie – odparła z autentyczną radością, jakby chodziło o dobrego znajomego; zawsze z ciekawością słuchała wieści na temat koronowanych głów, choćby i włoskich; nikt z taką dokładnością jak ona nie był w stanie spamiętać, kto trzymał do chrztu najmniej choćby poczesnego członka rodziny cesarskiej albo na co cierpiała w dzieciństwie morganatyczna żona któregoś z Hohenzollernów.

 – Miał o wiele więcej szczęścia niż poseł węgierski, pan Bokros, który wypadł z okna, próbując chwycić flaszkę śliwowicy – dodał jej mąż, nie podnosząc wzroku.

 – Cóż, zawsze powtarzam, że nieumiarkowanie w spożyciu trunków źle się kończy – stwierdziła kategorycznie Szczupaczyńska.